

Byłem w Polsce – 16

28 lipca 2018

Powoli rozglądałem się dookoła, próbując umiejscowić ogród, drzewa owocowe, rabatki z kwiatami, różane alejki, ale coś mi to opornie szło, bo obecny park urządzony był według nowego planu. Jedynym punktem orientacyjnym był stary dąb. Od niego zacząłem i po jakimś czasie zacząłem odkrywać dawne obrazy.

Ogród za czasów mojego dzieciństwa był ogromny i mieszał się trochę z sadem, gdzie rosły moje ukochane koksy pomarańczowe, a także małe, czerwone jabłka, które nazywaliśmy buraczkami, gruszki klapsy i parę innych. Właściwy sad był w pewnym oddaleniu. Oprócz jabłek było tam parę drzew-krzaków dereniu, z owoców którego mój ojciec robił nalewkę. Zresztą z czego nie robił?! Wielkie słoje z fermentującymi owocami stały w oknach i na stołach w spiżarni prawie cały czas. Ojciec stale coś koło nich robił – a to wstrząsał, a to obracał, a to przechylał. Potem zlewał to wszystko do butelek i miał gotowe prezenty dla znajomych i tych, którzy zwykle tego oczekiwali, bo w czasie świąt przychodzili do nas z świątecznymi życzeniami różni ludzie – tak jak to się dzieje w wielu regionach. Strażak, listonosz, kościelny, kominiarz, organista i inni, a wśród nich pan Worek – dostawca miodu.

Z tym dostawcą miodu wiązała się dość ciekawa historia, która mogła się dla mnie bardzo nieciekawie skończyć.

Pan Worek miał ogromną i starą pasiekę, a co najważniejsze, znał się na pszczołach jak nikt. Mój ojciec też próbował trzymać pszczoły, ale jakoś mu nie szło. Może nie miał do tego ręki – kto wie? Dość na tym, że po paru próbach dał spokój i miód zaczęliśmy kupować od pana Worka.

Otóż któregoś dnia panu Workowi uciekł rój. Jak to się stało, nikt nie wiedział, bo pan Worek kochał pszczoły i umiał się z nimi obchodzić, niemniej rój uciekł i ślad po nim zaginął!

Trzeba przy tym wiedzieć, że taki rój to nie było byle co – w każdym razie nie w tamtych czasach. Sprawa była powszechnie znana i mówiło się, że pan Worek jest gotowy dać nawet jakąś nagrodę za jego znalezienie.

Miałem już wtedy 11-12 lat i znalezienie tego roju wziąłem sobie za punkt honoru. Może zresztą nie tyle chodziło o „honor”, co o tę nagrodę, bo już wtedy zaczynałem potrzebować jakichś pieniędzy – głównie na gumę do żucia, która nie wiadomo skąd pojawiła się u nas w spożywczej budce. Kosztowała 90 groszy za małą kosteczkę i wśród dzieciarni szybko stała się najbardziej pożądaną rzeczą. Pieniądzy nie miałem, bo jak dotąd nigdy ich do niczego nie potrzebowałem, ale z chwilą pojawienia się tej gumy zacząłem o nich myśleć.

Swoim zwyczajem tłukłem się po okolicy i w końcu, ku mojej niesłychanej radości, znalazłem uciekiniera. Ogromna „bomba” pszczół wisiała na gałęzi drzewa.

Prawie każdy z nas ma swojego demona. Jedni boją się pajaków, inni nietoperzy czy węży, a ja – od czasu niemiłej przygody z nerwowym kundlem – bałem się psów. Bałem się również klasówek z matematyki, ale to już inna rzecz, jakkolwiek chyba najtrwalsza, bo akurat to śni mi się do dziś!

W każdym razie pszczoły to nie było coś, czego bym się bał. Pomyślałem, że najlepiej będzie, jak sam złapię ten rój i zaniosę panu Workowi. Wynałazłem stary, parciany worek, wziąłem świerkową gałązkę do pokropienia i bańkę z wodą. Wiedziałem od ojca, że tak to się robi. Nikomu ani słowa i wczesnym rankiem – jeszcze przed szkołą – do dzieła!

Rój znalazłem w tym samym miejscu, ale bardzo szybko się zorientowałem, że mój worek może być o wiele za mały. Rój był ogromny. Mimo to wycofywać się nie chciałem. Spróbuję – pomyślałem. No i spróbowałem, ale prawie natychmiast posłyszałem wzmożony ruch i coraz głośniejszy, niesłychanie szybko przybierający na sile, szum!

Zacząłem uciekać w ostatniej chwili i może by mnie i dopadły, gdybym nie przeciął drogi, po której akurat przejeżdżał konny wóz. Pszczoły chyba zawróciły albo rój się rozproszył, dość na tym, że zziębnięty jak pies dotarłem do domu i nic nikomu nie mówiąc, porwałem teczkę i pobiegłem do szkoły.

Nie pamiętam, co tam dalej z tym rojem było, ale zdaje się, że wrócił do ula.

Trochę później opowiedziałem o tej mini-przygodzie ojcu, a on roześmiał się wesoło, wyjaśniając jednak, czym ryzykowałem. Rozdrażniony rój mógł być prawie tak samo niebezpieczny jak wojenny niewypał.

Chodziłem po miasteczku i wspomnienia uderzyły mnie jak lawina.

Tu było to, a tu tamto, tu spotkałem tą, a tam biłem się z Józkiem... Wiele razy powtarzałem sobie, że „pamiętam tylko chwile szczęśliwe”, ale gdzie tam! Te niedobre pchały się pierwsze!

Chciałem dowiedzieć się o kolegach, koleżankach, w ogóle ludziach z tamtych lat, ale czasu było mało, bo przecież Warszawa wołała i trudno było egoistycznie pławić się we wspomnieniach, gdy w Domu Opieki czekała chora.

Na szczęście spotkałem kolegę, który cały czas tu mieszkał, tu się ożenił, tu spłodził czwórkę dzieci, a przede wszystkim był powszechnie znany i lubiany. Boguś był (i ciągle jeszcze jest) znanym rzeźbiarzem, absolwentem słynnej szkoły Kenara w Zakopanem. Pokazał mi swoje imponujące atelier, a potem przysiedliśmy na ławce i zaczęliśmy gadać kto, co i jak.

– A co się stało z Jankiem – pytałem Bogusia.

– Umarł.

– A z Alą?

– Umarła.

– A Magda?

– Ooo, będzie już dziesięć lat, jak nie żyje...

I tak dalej, i tak dalej. Lista ciągnęła się tak niepokojąco długo, że aż zapytałem:

– Boguś – na miły Bóg – czy tylko my dwaj żyjemy?

Zabrzmiało to tak, jakbyśmy byli rozbitkami po zatonięciu okrętu i leżeli wyrzuceni przez fale na plaży jakiejś wyspy.

– Ta gdzie! – odpowiedział Boguś. – Krzysiek żyje, chodzi po mleko, Rysiu jeszcze kuśtyka, ale nogi stracił, bo po pijaku spał w zimie na sztrece... Ledwie go odratowali, ale jeździ na wózku. Jeszcze wypije...

– I kto jeszcze?

Okazało się, że oczywiście wielu żyje, a niektórzy żyją, że ho, ho! Taki Roman – bogacz, że nie pytaj, a Lusja – gospodyni na takim majątku, że myślą ferrari kupić, bo sami nie wiedzą, na co pieniądze wydawać, a ten w Ameryce, a ten w Australii, a ten jest dyrektorem banku w Johannesburgu itd.

Jeszcze potem okazało się, że jest też paru na miejscu i można było gadać i gadać, ale jak powiedziałem, z czasem byliśmy już naprawdę cieniutko.

A potem poszliśmy na mały spacer i dopiero wtedy, gdy byłem w towarzystwie Bogusia, poznawań, pogaduszek i głośnych krzyków radości i zdziwienia nie było końca.

– Marcin! To ty?!? Gdzie się obracasz? Na jak długo przyjechałeś?

Te i podobne wykrzykniki towarzyszyły nam na ulicach. A wokół sklepy kipiały dobrem, gustownie urządzona galeria zapraszała reklamami, kantor wymiany proponował jakąś obniżkę kursów... Poszliśmy do kościoła – to samo – wspaniały, nowy wystrój,

kwiaty, wszystko na tip-top.

Chodziłem, oglądałem, wspominałem, ale co dla mnie było zdumiewające, to to, że nie mogłem wycisnąć ani jednej łzy z oczu moich! Nie mogłem! I nie to, że bym się nie starał! Zatrzymywałem się w miejscach, które powinny wywołać moje wzruszenie. Nawet przystawałem tam trochę dłużej. Wszystko na nic. Moje oczy pozostawały suche, a serce biło równo, bez żadnych emocjonalnych fikołków.

Szczerze mówiąc, byłem na siebie zły, bo co to ze mnie za zimny gad, ale co miałem robić?

Poszliśmy więc na cmentarz, na którym – jak już wspomniałem – niektóre groby były odnowione i przez to wyglądały nawet zbyt świeżo. Pozbawiono je przez to patyny wieku, zielonkawej narośli obrastającej stary kamień i szacownej sędziwości.

Ale na szczęście nie wszystkie. Oto Karolina Baraniecka – moja prapra... – zmarła 1863. Litery na kamieniu prawie zatarte, ale na płycie suchotka wiązanka, może jeszcze z zeszłorocznych Wszystkich Świętych. Trochę dalej grobowiec przodków mojej mamy, a jeszcze dalej – jakoś nie wiedzieć czemu – osobny grobowiec pradziadka Augusta. Wszystkie te miejsca znane mi od najmłodszych lat, z biegiem czasów wypełniane kolejnymi zmarłymi.

Na końcu cmentarza zaś, nad samą skarpą, widać było, tak jak przed laty, ogromną postać anioła patrzącego w dal na zakole Sanu.

Ktoś kiedyś nazwał go naszą Nike!

Autorstwo: Marcin Baraniecki

Źródło: Goniec.net